

## MÓJ ROMANS Z „SOLIDARNOŚCIĄ”

### OFICJELE

Dzień 29.08.2010 r. Toruń. Zupełnie przypadkowo włączyłem się w orszak osób zmierzający z katedry św. Jana pod łuk Cezara w związku z rocznicą 30 lat powstania ruchu Solidarność. Kilkudziesięciu oficjeli i kilkunastu gapiów, w tym pewnie tak jak ja, byli szeregowi członkowie, kiedyś 10 mln związku. Pod tablicą upamiętniającą NSZZ Solidarność oficjele po krótkim słowie wiążącym złożyli wiązanki kwiatów.

Rozpoznane przeze mnie osoby: prezydent miasta, przedstawiciel marszałka, 2 księży, 3 postów (każdy oddzielnie składał kwiaty), obecny przewodniczący zarządu regionu. Zabrakło mi zupełnie dawnych działaczy związkowych, nie widziałem na przykład żadnego z poprzednich przewodniczących regionu (ani nie rozpoznałem nikogo z pierwszego zarządu). Oficjele przypominali wyglądem pezetpeerowskich dygnitarzy – nawet kilku miało czerwone krawaty.

I wtedy uzmysłowiłem sobie jak historia zatoczyła koło. Dzisiejsi parweniusze, to wczorajsi wyklęci. A społeczeństwo nadal podzielone na swoich i „onych”. Czy to aby nie konsekwencja tak a nie inaczej przeprowadzonej transformacji ustrojowej?

### IMPULS

To był impuls. Zacząłem szukać pamiątek z okresu pierwszej „Solidarności”, ale nic nie znalazłem. W ręce wpadło mi natomiast zdjęcie z roku 1991, czyli tuż po odrodzeniu się drugi raz związku w latach 1989/1990. Była to już nowa era, tworzenia kapitalizmu - oczekiwania bogactwa i sukcesu. Dałem się porwać tej fali. Widziałem się już prawdziwym biznesmenem, a nie strachliwą głową rodziny, którego wciąż rosnące rachunki za życie (energia, eksploatacja mieszkania, gaz) wprowadzały w stan najwyższego lęku i irytacji. Zgodnie z oficjalnym przekazem, wkrótce każdy miał tylko polepszyć swój los. Miał to zapewnić wolnorynkowy, wreszcie sprawiedliwy system społeczno-gospodarczy.

Na fali przemian i wiary w sukces, z dwoma zaprzyjaźnionymi geografami założyliśmy spółkę cywilną. Skutkiem czego była między innymi mała księgarnia wraz z bufetem mieszcząca się gościnnie w budynku Książnicy Miejskiej w Toruniu. Zdjęcie jest wykonane przed budynkiem tej szacownej instytucji mieszczącej się przy ulicy Słowackiego.

## TŁO

Urodziłem się w pamiętnym roku 1956. Październik tamtego roku był wyjątkowy, panował powszechny i prawdziwy entuzjazm związany z wiarą w mające nastąpić w kraju nieodwracalne już przemiany. Atmosfera euforii i radości. Uwierzono w możliwość godnego życia, bez zastraszania ze strony wszechobecnych organów państwa. „Wolności i chleba” takie były hasła, poprzedzające Październik, czerwcowych wypadków poznańskich. Ogromny entuzjazm i zaufanie do partyjnych przywódców (szczególnie Wł. Gomułki), którzy wydawało się, że teraz pragną narzucony nam socjalizm ucywilizować. Taka atmosfera w Polsce powtórzyła się jeszcze tylko raz, po blisko ćwierć wieku. Wówczas jednak okazało się to naiwnym złudzeniem. W tym samym czasie na Węgrzech – w roku 1956 – historia potoczyła się inaczej. Ojciec mój w jakiś czas po stłumionej rewolucji przebywał na Węgrzech w delegacji. Wrócił zdruzgotany i nawet w zaciszu domowym płakał. Prawdopodobnie zdano mu relację, z tego co się tam działo. Być może widział na zdjęciach węgierskie dzieci przywiązane do sowieckich czołgów, a także zniszczenia dokonane przez „bratnią” armię. Przekonał się do czego jest zdolna „władza ludowa”. Możliwe, że fascynacja Ojca komunizmem została przyćmiona lękiem przed totalitarnym państwem. Spodziewana w kraju odwilż szybko została zmrożona. W końcu lat 60. nie było już po niej śladu. Oczywiście nie przeszkadzało to mojej mamie (nota bene, gorącej katoliczce), w posyłaniu nas – dzieci lewicowego działacza – na lekcje religii (odbywały się w przykościelnej salce katechetycznej), a w grudniu o 6 rano na roraty. Szliśmy z zapalonymi lampionami przez ulice zmrożonego zimową aurą i socjalizmem Olsztyna (tak jak przykazał z ambony proboszcz Romejko). Pamiętam, jak jako 3-4 latek siedziałem na krawężnikach ulic Olsztyna, gdy w letnim skwarze odbywały się obchody uroczystości religijnych Bożego Ciała. A homiliom w kwiecisto-kościelnym stylu nie było końca. Kilka takich uroczystości miało miejsce pod przewodnictwem samego późniejszego Prymasa Tysiąclecia. Trzygodzinne uroczystości, to jednak stanowczo za dużo, jak na małego chłopca.

Potem wzywano ojca do Komisji Kontroli Partyjnej i pokazywano zdjęcia, na których przyjmujemy (ja z bratem i mamą) komunię, jako dowód niedostatku zaangażowania ojca w budowanie najlepszego z ustrojów. Odpowiednie służby miały zadanie ułatwione, bo naszym sąsiadem był z-ca Komendanta Wojewódzkiego Milicji w Olsztynie. Wystarczyło wychylić się przez okno i wykonać telefon do pełniącego służbę technika. Trzeba nadmienić, iż dopiero za czasów Gierka wykrystalizowały się zasady obowiązujące praktykujących partyjnych. Ich rodzinom wolno było chodzić do kościoła i brać udział w uroczystościach religijnych, ale nie ostentacyjnie, tylko poza swoim miejscem zamieszkania. Z tego względu mieszkając później w Białymstoku często

odwiedzaliśmy w niedzielę kościółek w Dąbrowie Białostockiej. Trzeba było podczas nabożeństwa stać na zewnątrz, tyłu było chętnych (głównie przyjezdnych).

Jak już podrośłem, pamiętam jeszcze w latach 60. wyjazdy z ojcem do Warszawy. Tata od czasu do czasu jeździł tam na narady, a ja mu towarzyszyłem. Często jechał z nami wojewoda, a raz nawet I sekretarz wojewódzki partii (dla nieorientowanych: pierwsza osoba w województwie, coś jak dzisiejszy marszałek tylko do kwadratu – jeśli chodzi o zakres władzy ma się rozumieć). Wsiadaliśmy do pojazdu marki czarna wołga, albo do najnowszego modelu włoskiego fiata.

Gdy już byłem świadomy na tyle, żeby z grubsza rozumieć zastaną rzeczywistość, hipokryzja ówczesnej władzy rzucała mi się dość mocno w oczy. Akademie ku czci, apele, pochody pierwszomajowe należały do stałych rekwizytów obowiązujących w szkole. Zdaje się, że władza z rozmysłem pielęgnowała świeckie rytuały, bo w swojej naiwności wierzyła, iż w ten sposób odciągnie część społeczeństwa od wpływów Kościoła. Kwintesencją zastanego ustroju było dla mnie Liceum nr III im. Małgorzaty Fornalskiej w Białymstoku. Należy tu wspomnieć iż tata mój, który w sposób zdeklarowany utrzymywał władzę ludową, wiecznie z partią rządzącą (PZPR) się wadził. Wierzył w idee lewicowości, ale już jej narzędzia, tzn. ludzi partii, uważał ich często za głupków i karierowiczów. Stąd, kiedy już poróżnił się z lokalnymi władzami, co było tylko kwestią czasu, uciekał przed spodziewanymi szykanami do innego miasta. Dlatego zwiedziliśmy poza Olsztynem (gdzie przyszedłem na świat), Białystok oraz Toruń. Mieliśmy jeszcze przenieść się do Warszawy, do Bydgoszczy i z powrotem do Olsztyna - ale już z mamą powiedzieliśmy dość (starszy brat po zakończeniu szkoły średniej wyjechał na studia do Poznania i tam pozostał). Tata musiał się z tym pogodzić, a swój stosunek do przymusowej sytuacji w jakiej się znalazł wyrażał językiem – „utknęliśmy w tym Toruniowie”. Po latach ojciec z największym sentymentem odnosił się do pobytu w Olsztynie (z którego zdezerterował w kwietniu 1970 r.). Z wielkim mirem wypowiadał się o ówczesnym wojewodzie M. Gotowcu. Innych przedstawicieli władz z jakimi musiał w wielu miastach współpracować nierzadko uważał za ignorantów, bufonów i ludzi miernych. Nota bene, ojciec jako jeden z pierwszych partyjnych przewidywał, iż okres rządów Gierka źle się skończy (z wykształceniem ekonomicznym wiedział dobrze, iż trudno żyć bezkarnie za pożyczone pieniądze). Ludzie ideowi, zaangażowani w przemiany w życiu publicznym zostali wymienieni na pragmatyków i liczących głównie korzyści własne. Byli tacy partyjni dygnitarze, którzy wręcz wymuszali prezenty od dyrektorów (zależnych od partii) zakładów produkcyjnych. Wszystko można było załatwić, tylko trzeba było zaoferować coś w zamian. Dysponować jakimś dobrem lub świadczyć konkretną usługę.

Tak więc, na zakręcie historii dokładnie w 1970 r. tata zdecydował, iż w Olsztynie już nie wytrzyma i przenosimy się do pięknego, jak twierdził, Białegostoku. Nie było to mądre i dość krótkowzroczne, bowiem w grudniu nastąpił przełom, zdarzenia do władzy wyniosły E. Gierka i cały poprzedni garnitur partyjny został szybko wymieniony na nowy (choć niekoniecznie lepszy).

Do owego białostockiego liceum uczęszczałem w latach 1971-1973. Jak się okazało, szkoła ta była utworzona pod patronatem Komendy Wojewódzkiej Milicji w Białymstoku. W liceum panowała specyficzna atmosfera. Większość grona pedagogicznego stanowiły niezwiązane stanem małżeńskim belferki. Wiek uczących pań był nieokreślony. Kiedy byliśmy pewni, iż fizyczka ma ok. 50-tki, właśnie okazało się, iż mieliśmy składać jej życzenia z okazji 30-tych urodzin. Nie wiem, czy dobierano nauczycielki według jakiegoś klucza, faktem jest natomiast, iż właściwością charakterologiczną pedagogicznego grona było gnębienie, poniżanie i zastraszanie niepokornego, według ich mniemania, ucznia. Nie mi oceniać, czy czyniły to z lubością, czy też ogólna atmosfera szkoły temu sprzyjała. Oprócz dyrektora i dyrektorki (skądinąd doskonałej, choć wymagającej matematyczki) władzę, zdaje się iż faktyczną, sprawowała rusycystka (żona sekretarza wojewódzkiego PZPR). Szczególnie niemiłe mam wspomnienia z lekcji języka polskiego - nabawiłem się można rzec prawdziwej nerwicy szkolnej. Polonistka, sama mówiąca o sobie, że ma gołębie serce, celowała w ośmieszaniu niektórych - w tym mnie - uczniów. Każda wypowiedź była kwitowana pobłażliwym uśmiechem i przeważnie oceną ndst. 45 minut siedziałem na lekcji polskiego w paraliżującym strachu, aby nie wyrwano mnie do odpowiedzi. Pamiętam, jak dziś, a minęło 38 lat, otrzymanie 2 ocen niedostatecznych na jednej lekcji (dzisiaj uważano by to za poważne naruszenie regulaminu szkoły). Jedną ocenę za niedokładne opisanie z pamięci ubioru Podkomorzego występującego w jakiejś scenie w „Panu Tadeuszu”. Wymieniam: żupan, czapka, buty. Dobrze, ale opis niekompletny. Powinienem dodać: i miał na sobie rajtuzy. W analizach typu, co chciał nam autor (lub podmiot liryczny) w swym dziele powiedzieć też wypadałem blado. Wtedy przekonałem się, iż umysł muszę mieć raczej ścisły.

W szkole tej dochodziło do dziwnych wydarzeń. Powstał klub samobójczyń, co tydzień jakaś z członkiń klubu podejmowała próbę targnięcia się na swoje młode życie. Udanych prób były dwie, zanim sprawa wyszła na jaw. Truły się kuchenką gazową. Ostatnia z dziewczyn miała nastawiony budzik, co wskazywało, iż chciała się ocknąć (nie udało się). Po roku, czy dwóch głośno było morderstwo dokonane na nauczycielce fizyki przez jej ucznia. Kiedy się o tym dowiedziałem z gazet, zupełnie mnie to nie zaskoczyło, pomyślałem nawet, iż to dziwne że doszło do tego dopiero teraz. Nawet napisałem list do redakcji pisma, bodajże „Horyzontów”, opisując klimat panujący w szkole i niejako

w ten sposób tłumacząc sprawcę. Próba podpalenia budynku, która miała miejsce jakiś czas później nie zrobiła już na mnie żadnego wrażenia.

Po 2 latach przyszło wybawienie. Ojciec szybko uznał, że nigdy się tak nie pomylił jak ostatnim razem, by zamieszkać wśród wschodniej społeczności. Czas obrać kierunek zachodni. Niestety przenieśliśmy się zawsze na gorsze warunki mieszkaniowe. W Olsztynie po latach mieszkania w służbowym lokalu bankowym (2 pok., duży taras, i wybuchający piecyk gazowy w łazience), przenieśliśmy się do dwurodzinnej willi na ulicę E. Plater z dużym ogrodem. Tym mieszkaniem, ładnym i sporym nie nacieszyliśmy się długo. W Białymstoku wprowadziliśmy jak na tamte standardy zajmowaliśmy aż 3 pokoje na parterze, w bloku przy ul. Dzierżyńskiego (niedaleko akademii medycznej), lecz położenie mieszkania nie było szczęśliwe. Naprzeciwko znajdował się postój taksówek (w nocy ruch), sąsiad za ścianą, dawny dąbrowszczak (zasłużony powstaniec) o słuchu już przytępionym, wcześniej rano, szczególnie w niedzielę głośno słuchał w radio dumek litewskich. Z kolei sąsiad z góry co weekend urządzał głośne alkoholowe libacje. W Toruniu tata zgodził się już na mieszkanie 2 pokojowe. Tutaj w IV Liceum Ogólnokształcącym czułem się, po tym co przeżyłem w poprzednim liceum, jak w sanatorium, a moje oceny raptem skoczyły nawet o 2 punkty.

Przy okazji nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, iż moi rodzice – choć ojciec przez lata był na stanowisku dyrektora – raczej niewiele się za socjalizmu dorobili. Większość mebli jakie zajmowały, w końcu, ich dwupokojowe mieszkanie, to były meble z początku lat 50., które nabyli zaraz po ślubie. Okres gierkowski natomiast otworzył nam okno na świat. Można było wyjeżdżać poza kraje tak zwanych demoludów. Wówczas co roku gdzieś z rodzicami wyjeżdżałem. Oczywiście z punktu widzenia dzisiejszego były to wyjazdy bardzo siermiężne. Spało się na campingach, wiozło własne jedzenie, a przez cały pobyt na przykład w Jugosławii, żeby zgasić w upalny dzień pragnienie, stać nas było na wypicie na spółkę jednego piwa.

Stalowe ramię systemu odczułem właśnie najdotkliwiej w Białymstoku. Otóż mój brat Krzysiek o 3 lata starszy ode mnie i bardziej towarzyski, zaprzyjaźnił się z rówieśnikiem, który przyjechał z Anglii na dłuższy pobyt do swojej babki. Steve G. nosił długie włosy, ubierał się kolorowo, nie liczył się z uwagami dorosłych, zachowywał się swobodnie, może zbyt jak na klimat wczesnych lat 70. Przywiózł ze sobą masę płyt, o których mogliśmy tylko w Polsce pomarzyć. Miejskowa władza doszła do wniosku, iż wpływ ideologiczny przejeźdnego na młodzież białostocką może być zgubny. Jednym ze środków zastraszania środowiska były przeprowadzane u kolegów Anglika rewizje. Również i naszej rodziny nie ominęły szykany (mimo, iż ojciec wtedy pełnił w województwie wysoką pozycję państwową). Dwukrotnie, o godzinie 6 rano, znienacka

weszło do naszego mieszkania kilku mężczyzn i dokonało przeszukań (oficjalnie: szukali narkotyków). Oglądali w domu każdą rzecz, książki strącali na podłogę. Po wyjściu smutnych panów, mieszkanie wyglądało jak po pogromie. Utkwiła mi w głowie jedna scena. Około godziny 8 wychodziłem do szkoły i w ręku trzymałem worek na kaptcie (w tych czasach nie wolno było wchodzić do budynku szkoły w butach!), wtedy podbiegł do mnie jeden z „gości”, wyrwał mi worek i przeszukał jego zawartość. Znalazł bambosze. Wszystkie te działania służb bezpieczeństwa były dla rodziny bardzo stresujące, a podejrzewam, iż najbardziej dla mojego ojca. Po drugiej rewizji, brat został zabrany na milicję, gdzie wykonano mu jak przestępcy odciski wszystkich palców. Szykany ustały dopiero po interwencji ojca w Komitecie wojewódzkim partii i ograniczeniu przez brata kontaktów z obcokrajowcem. Po paru miesiącach Steve i jego młodszy, nad wiek rozwinięty brat, wrócili do Anglii.

Po 3 latach zamieszkania w Białymstoku przenieśliśmy się, by zacząć godne i lepsze życie, do centralnie położonego Torunia. Tata był w lekkiej euforii, po latach pracy na wysokim stanowisku we władzach województwa powracał do bankowości, na stanowisko dyrektora oddziału miejskiego. Wychwalał miasto, piękną starówkę i wreszcie ludzi na poziomie, z którymi będzie współpracować.

## POCZĄTEK ROMANSU

I tak w miarę spokojnie, dotrwaliśmy do burzliwego okresu lat 1980/81. Już wtedy pracowałem. Moim pierwszym stałym zajęciem, na cały etat, była praca w księgarni. Od razu zapisałem się do powstającego w „Domu Książki” z siedzibą w Bydgoszczy NSZZ „Solidarność”. Najpierw z niepokojem, ale i nadzieją chłonałem wieści z wybrzeża, toruńskiego Towimoru, Śląska, a w końcu z wszystkich już rejonów kraju. Czas ten to wybuch ogromnych nadziei, choć podszyty lękiem jak to się skończy (jak zareaguje Wielki Brat). Coraz bardziej wydawało się, iż zwycięstwo blisko, a już na pewno nie będzie możliwe wciśnięcie kraju w wyznaczone przez dziesięciolecia koleiny – arogancji władzy, nieliczenia się z opinią ludzi, kontrolowania wszystkich obywatelskich działań. Czego nie dowiadywaliśmy się z prasy i telewizji oficjalnej, można było się dowiedzieć słuchając Radia Wolnej Europy lub BBC. Symbolem związku stawał się powoli niekwestionowany wtedy przywódca robotniczy Lech Wałęsa. Szokiem okazał się 13 grudnia 1981, kiedy to w niedzielę zamiast ulubionej stacji radiowej (Trójki) najpierw usłyszałem szum, a potem muzykę klasyczną nieprzerywaną słowami spikera. Było jasne, iż coś się wydarzyło. W telewizji na okrągło puszczano przemówienie gen. Jaruzelskiego o wprowadzeniu, decyzją Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, stanu wojennego na terenie Polski. Zaraz po śniadaniu popędziłem pod siedzibę Solidarności

na ulicę Mickiewicza. Był trzaskający mróz, przed budynkiem kręcili się funkcjonariusze ZOMO. Nikogo nie wpuszczano. Praktycznie zarządzenia stanu wojennego nie były mocno dokuczliwe dla przeciętnego mieszkańca (z początku należało otrzymać przepustkę, kiedy wyjeżdżało się poza miasto, obowiązywała godzina milicyjna – ale szybko uchylono te obostrzenia). Natomiast w sferze psychicznej nastąpiło załamanie. Tak jakby powiew wielkich nadziei i wyzwolonych energii społecznych nagle zamarł. Pozostał ogromny zawód, przetrącenie kręgosłupa narodu, zwątpienie. Energia społeczna skierowała się na sprawy małe, własne. Wiele osób postanowiło wyjechać na zachód i tam ułożyć sobie życie. Żebym wiedział...

W 1982 udało mi się załatwić pracę w Towarzystwie Naukowym w Toruniu na etacie bibliotekarza. Oczywiście związek pracowniczy żaden nie działał. Natomiast co jakiś czas przeprowadzaliśmy zbiórkę na pomoc dla ukrywającej się członkini zarządu regionu. Po paru latach, już na wolności, osoba ta przyszła służbowo, ale słowa podziękowania nie padły (może nie wiedziała o naszej akcji?).

Gospodarka stała jakby w miejscu, wieczne braki podstawowych produktów. Było oczywiste, iż system stawał się coraz bardziej niewydolny, a na bratnią pomoc w zakresie gospodarczym już nie można było liczyć. Ustrój rozdzielczo-nakazowy załamywał się wszędzie. Do władzy w ZSRR dochodził właśnie Gorbaczow. Stawało się jasne, iż prędzej czy później muszą nastąpić znaczne zmiany polityczne wymuszone sytuacją ekonomiczną państwa. Jeszcze Mieczysław Rakowski (ostatni pierwszy sekretarz PZPR) usiłował ratować gospodarkę wdrażając koncepcję ministra Wilczka. Próby te nie przyniosły zamierzonego efektu. Wreszcie doszło do dawno oczekiwanych rozmów władzy z wciąż aktywnymi przywódcami Solidarność (zdelegalizowanej w 1982 r.) i z opozycją. W czerwcu 1989 r. powstał tzw. Okrągły Stół, a potem pierwsze częściowo wolne wybory do sejmu i senatu. Premierem w nowej Polsce został Tadeusz Mazowiecki, a prezydentem Wojciech Jaruzelski. I znowu w Polsce rodziło się coś nowego, wielkie oczekiwania wobec systemu bardziej sprawiedliwego, że osobiste powodzenie już będzie zależne od własnego, włożonego w pracę wysiłku, a nie powiązania partyjno-rodzinnego. Lata 1989/1990 nie były już jednak w stanie wskrzesić ducha solidarności sprzed dekady. Zamiast euforii, entuzjazmu raczej trzeźwe oczekiwanie zmian, nadzieja na powolne w pozytywnym kierunku reformy.

I KONIEC

Na jesieni 1989 r. powstała i w naszym historycznie zasłużonym zakładzie pracy - Towarzystwo Naukowe w Toruniu - komórka Solidarności. Bardziej z ambicji kierownictwa (działacze związkowi z 1980 r.), niż z faktycznej potrzeby. Zostałem wybrany na przewodniczącego. Od początku 1990 r. coraz bardziej stawało się dla mnie

jasne, że nie mogę, i też nie chciałem, być przewodniczącym malowanym. Wspominano o restrukturyzacji (czytaj: zwolnieniach), zmianach, oszczędnościach. Najpierw postanowiono zwolnić sprzątaczkę. Postawiłem się, nie wyraziłem na to zgody. Tak naprawdę, wiedziałem, że zmiany są konieczne, a nawet nieuchronne, ale nikt o jakichkolwiek planach nie raczył mnie informować, nie podejmował ze mną żadnych rozmów. Dziwiono się natomiast, że dyskutuję zamiast godzić się na wydane przez zarząd towarzystwa decyzje. Byłem naiwny, uwierzyłem w swoją rolę i siłę związku. Szybko stałem się osobą niewygodną, starano się mnie pozbyć. Po wszystkim dowiedziałem się, iż wcześniej już prezes TNT skierował zapytanie do zarządu regionu Solidarności, czy zgodzą się na moje zwolnienie (do czego obligowała zakład pracy ustawa o związkach zawodowych). Ówczesny przewodniczący regionu Ryszard Musielak nie wyraził zgody. Zmiany następowały jednak prędko, za kilka tygodni nie było już przewodniczącego, a do zarządu regionu wchodziłi nowi ludzie. Pewnego dnia – pewnie był to kwiecień, bo jakoś zawsze w tym miesiącu zmieniałem pracę – wręczono mi pismo, informujące iż moje stanowisko bibliotekarza ulega likwidacji, a w zamian proponują mi pracę... stróża nocnego. Tu wyjaśnienie. Zgodnie z przepisami nie wolno było zwolnić przewodniczącego zakładowej komórki związkowej, ale można mu było zmienić warunki pracy, co właśnie uczyniono. Wybieg ten świadczy o stylu działania ówczesnego zarządu TNT. Zamiast rozmowy - nie upierałem się nawet przed zwolnieniem mnie, chodziło mi tylko o ludzkie potraktowanie i wypłacenie kwoty, która mi się słusznie należała - decyzja dla mnie nie do przyjęcia. No cóż, wiedziałem, że sprawa jest przesądzona. Upieranie się tam, gdzie mnie nie chcą, w mojej ocenie nie miało sensu. Jeszcze odwoływałem się do zarządu regionu, ale miałem wrażenie, iż mają ważniejsze sprawy na głowie. To wrażenie potwierdziło się przez nieobecność kogokolwiek z przedstawicieli zarządu regionu na rozprawie przed sądem pracy w Toruniu (choć kilka dni wcześniej zapewniano mnie, iż przyjdzie ich radca prawny). Chodziło o wypłacenie mi, zgodnie z przepisami, trzymiesięcznego wynagrodzenia. Dwóch uniwersyteckich profesorów prawa, pełniących funkcje członków zarządu towarzystwa negocjowało to prawo. Mylili się. Odchodząc z TNT (w którym stworzyłem od podstaw księgozbiór biblioteki podręcznej), miałem chociaż satysfakcję, iż wygrałem sprawę z utytułowanymi prawnikami.

Tę namiastkę zadowolenia umniejszał mój żal, iż nikt z zarządu Solidarności nie wsparł mnie. Zostałem na lodzie, nikt nawet nie spytał, co będę robić dalej, z czego żyć. Zapewnianie mnie, przez sekretarza zarządu TNT (dzisiaj znany ekspert) o udzieleniu pomocy przez znalezienie mi nowego zatrudnienia okazało się tylko czczą obietnicą bez żadnego pokrycia. Pozostając bez zatrudnienia moja przynależność związkowa stała się bezprzedmiotowa.



## LATA TRANSFORMACJI USTROJOWEJ

Miałem dopiero 34 lata, ale formalne wykształcenie marne: 2 lata studiów na matematyce i ekonomii oraz skończone pomaturalne studium bibliotekarskie. Kapitalizm powstawał powoli, ale nieuchronnie. Nikt jeszcze nie wiedział jakie ukaże oblicze. Zatrudniłem się w prywatnej księgarni. Nowobogacki właściciel - nazwiska nie podaję, bo takich było wtedy wielu - wykorzystywał nas niemiłosiernie. Towar miałem wozić swoim - nie posiadając własnego korzystałem z użyczonego przez ojca - pojazdem. W hurtowni w Warszawie właściciel załadowywał go tak, że pojazd ugiął się zostawiając 10 centymetrowy prześwit między podwoziem a jezdnią (ciężar musiał przekraczać znacznie dopuszczalną normę dla pojazdu osobowego). Często tuż przed końcem pracy, około 18:00 szef sam przywoził towar. Należało go rozładować. Trwało to nieraz do godz. 24:00. Oczywiście rano do pracy. Pewne jego zachowania dawało się przewidzieć, choć jak przystało na biznesmena będącego na początku swojej kariery, miał co chwilę fantastyczne pomysły (liczył, iż my je wykonamy). Zawsze gdy powinien wypłacać pensję okazywał nam wyraźnie zły humor, wszystkiego się czepiał. W końcu wypłacał mniej niż wynikało z czasu pracy, albo wypłata spóźniała się („co chcecie, przecież właśnie musiałem zapłacić za towar” – padała odpowiedź). W „księgarni” nie było toalety. Trzeba było sikać do umywalni, a przy tym odkręcać kran, żeby klienci nie słyszeli. Oczywiście w takiej sytuacji nie byłem tylko ja. Jedna z dawnych działaczek związkowych (i poetka) pastowała w sklepie podłogę. Widać nowa rzeczywistość tylko to miała jej do zaoferowania. Wytrzymałem pięć miesięcy. Złośliwy pracodawca, w dzień mojego odejścia kazał niespodziewanie zrobić inwentaryzację, po zamknięciu sklepu. Jednak było to wspaniałe uczucie, o północy, choć bez pracy, byłem wolny! W drugiej samoobsługowej księgarni popracowałem dwa miesiące. Warunki lokalowe były dużo lepsze, natomiast praca polegała niemal wyłącznie na staniu 8 godzin (specjalnie nie było krzesel) i pilnowaniu, czy klienci nie kradną. Po 3-4 godzinach było już mi obojętne, gdzie jestem i co robię. Przeżyłem tu akurat szczyt związany z zakupami przedświątecznymi, cały czas ogromny ruch, jedyne urozmaicenie to skorzystanie z toalety (i można było na moment usiąść). W końcu postanowiłem sam zostać biznesmenem. Skrzyknąłem się z dwoma geografami i założyliśmy, prawie na obrzeżu miasta, własną księgarnię. Jeden ze współników był właścicielem lokalu, drugi miał wielkie ambicje i chęć kontrolowania postępowania pozostałych. Mi wystarczało, ale ludzie nauki marzyli o prawdziwie dochodowym interesie. Pewnego dnia księgarnię zastałem zamkniętą, a drzwi wewnętrzne owinięte taśmą, aby nikt nie wszedł i nie wyniósł towaru. Rozejście się nie nastąpiło w sposób kulturalny, lecz w atmosferze podejrzeń i małostkowości. Po paru miesiącach właściciel lokalu, a ściślej, zabudowanej w kamienicy bramy, rozszedł się i z drugim współnikiem. Doświadczenia quasi-własnej

działalności nie były miłe, ale nawet przez jakiś czas myślałem o założeniu, już samodzielnie, firmy. Z drugiej strony typem handlowca na pewno nie byłem, a i moja sytuacja rodzinna była już inna. Na ryzykowne eksperymenty nie starczyło mi w rezultacie odwagi. Właśnie urodziła mi się druga wspaniała córka (po Paulince - Agnieszka). Żona miała jedynie skromny zasilek macierzyński, a pomoc mogła nadejść tylko ze strony mojego ojca (przychodził codziennie, i zajmował się dziećmi, aby odciążyć żonę - potem gdy już chodziła do pracy, odbierał je z przedszkola). Tata zmarł, gdy młodsza córka miała niespełna 5 lat. Co było robić? Zatrudniliśmy opiekunkę, żeby ktoś odbierał dziewczynki z przedszkola. Ola chodziła już do pracy. Do szkoły od I klasy musiały iść już same, zamykać drzwi, pilnować klucza, po powrocie samodzielnie otwierać drzwi i wchodzić do mieszkania. Zawsze z duszą na ramieniu o tym myślę, ale opatrność była nam życzliwa. Nawet, gdy jedna z opiekunek odkręciła kurek z gazem nie zapalając palnika, akurat wróciłem wcześniej z pracy i już na korytarzu usłyszałem charakterystyczne syczenie. A gdybym przyszedł później...

W końcu, dzięki dawnym koneksjom ojca, zostałem zatrudniony w bankowości. Najpierw rozpocząłem karierę w administracji banku, potem prowadząc kartotekę kredytową, następnie segregując i włączając do katalogów tysiące bankowych wyciągów. Wreszcie, gdy zwolnił się etat, podjąłem pracę w biurze maklerskim w innym banku. Postanowiłem w związku z prestiżowym stanowiskiem podnieść kwalifikacje. Zapisałem się na studia na Wydział Ekonomii i Zarządzania UMK, które ukończyłem po 3 latach ze stopniem licencjata w 1997 r. Zważywszy na koszt studiów zaocznych i oceniając realnie w moim wieku możliwości osobistej kariery, nauki nie kontynuowałem. Krótco po ukończeniu studiów, w moim banku odbyła się kolejna restrukturyzacja (czytaj: fala zwolnień) i z biura maklerskiego musiałem odejść (zatrudnienie zaproponowali koleżance z wykształceniem średnim). Co dalej począć ze sobą? Jak utrzymać rodzinę? Te pytania ściśle związane są z całym okresem transformacji i kolejną dekadą. Musiałem zaczynać wszystko od nowa. Co dalej, po doświadczeniach w księgarstwie i bankowości? Jakiś czas udało mi (nam) się wyżyć poprzez świadczenie usług przepisywania prac dyplomowych. Jako legalista i wciąż przyjaźnie nastawiony do swojego państwa, postanowiłem zrobić to zgodnie z obowiązującymi przepisami. Firma została założona na żonę, jako będącą na etacie (gdybym ja założył firmę, dochód nie pokryłby nawet koniecznych kosztów, głównie opłacanych składek na ZUS). Ja formalnie miałem status bezrobotnego. Potem pożałowałem, iż firmę w ogóle zarejestrowałem. Gdybym wiedział, ile koniecznych zabiegów z dokonywaniem comiesięcznych, kwartalnych, rocznych rozliczeń, by dorobić kilkaset złotych, nie zalegalizowałbym działalności. Raz dostałem (przepraszam żona) wezwanie z ZUS-u, iż w jakimś raporcie RMUA (czy innym) nastąpiła pomyłka o 0,2 zł

(słownie złotych: 02/100) i pod rygorem odpowiedzialności karnej trzeba się zgłosić w tym i tym dniu o konkretnej godzinie i wyjaśnić. Na korytarzu urzędu spotkałem właściciela warsztatu jubilerskiego, który został wezwany w sprawie analogicznej kwoty. Musiał zamknąć zakład (przyjechał spoza miasta), i klął, jakie straty przez jego nieobecność firma poniesie. Jeszcze po ośmiu latach od zakończenia działalności firmy otrzymywaliśmy do domu jakieś pisma, a to z urzędu statystycznego, a to znowu, w sprawie wyjaśnień sprzed lat z ZUS-u. Widocznie mimo upływu lat i zamknięcia wszędzie gdzie się dało działalności, jeszcze czegoś nie dopełniliśmy lub po prostu faktu nieistnienia firmy gdzieś nie odnotowano. Przestaliśmy się już tym przejmować.

Następnie, mówimy już o XXI wieku, dostałem posadę windykatora długów u renomowanego wydawcy (Agora). Mimo, iż to spółka giełdowa, stosunki panowały specyficzne. Posadzili mnie w pokoju pośród 6 kobiet. Nad wszystkim starała się panować potężna i zasłużona, dla wspólnej kiedyś sprawy, księgowa. Zwyczajnie były takie: kiedy przychodził nie szef tylko zwykły redaktor po swoją należność na przykład z rozliczenia delegacji, z miejsca już krzyczano, iż w tej chwili to niemożliwe, po czym zasiadano do obficie zastawionego stołu (z czego też korzystałem) i dwie godziny trwało śniadanie. Taka dygresja. Nigdy już tak dobrze w pracy sobie nie podjadłem jak tam. Z początku byłem pełen niewiary we własne windykatorskie możliwości i efektywność swojej pracy. Jednakże uporem, systematycznym działaniem udawało mi się ściągać coraz większe kwoty. Kiedy odzyskałem ponad 2-letnie zadłużenie w wysokości 20 tysięcy zł od pewnego hipermarketu, mogłem poczuć się pewniej. Szkoda, że po roku dobrej współpracy z szefem, rządy w biurze firmy objęła „wymancypowana” kobieta. Miała za zadanie zmniejszyć koszty bydgoskiego oddziału.

Następnie zajmowałem się:

- akwizycją w Provident Polska (przez tydzień kilka godzin dziennie chodziłem po obsikanych klatkach schodowych, żeby zarobić w sumie 16 zł),
- opróżnianiem skrzynek pocztowych (Poczta Polska) jeżdżąc po mieście własnym samochodem (zaraz urwałem rurę wydechową na jakimś krawężniku, ale jednak jakiś dochód z tego był),
- popołudniami przemieniałem się w pracownika wschodzącej firmy kurierskiej (dojazd, telefony na koszt własny, w związku z czym dochód ledwo pokrywał wydatki),
- ankietowaniem.

Traktowałem te czynności jako działania przygotowawcze do właściwej pracy na etacie. Nie było to łatwe. Niepostrzeżenie ukończyłem 47 lat. Czego nie robiłem, żeby otrzymać zatrudnienie. Masa listów, do urzędu miasta, marszałka województwa, odpowiadanie na oferty w prasie, ogłoszenia. Na ogół chciano akwizytorów (przepraszam przedstawicieli handlowych) do sprzedaży, ubezpieczeń, kredytów. Odpowiedzi nadchodziły na poziomie 5%. Dwa razy jechałem poza Toruń, żeby się przekonać, iż potencjalny pracodawca bardzo jest zainteresowany moimi kompetencjami, ale odpowiedź prześlę pisemnie. Oczywiście nigdy nie nadeszła. Dopiero, po wielu miesiącach niepewności i poszukiwań, zatrudnienie znalazłem w instytucji państwowej i znowu w Bydgoszcy. Do związku zawodowego się nie zapisałem.

Napisano w 2010 roku

/Drobnej korekty dokonano w 2020 r./

autor: Piotr Podemski, rocznik 1956

Zdjęcie – w załączeniu – przedstawia autora przed wejściem do budynku Książnicy Miejskiej w Toruniu mieszczącego się przy ulicy Słowackiego (gdzie mieliśmy pozwolenie przez kilka tygodni na prowadzenie baru i małej księgarni). Fotografię wykonano w 1991 roku.